



Asolna

„Nasza ziemia, nasz dom- pamiętnik pokoleń c.d.”

Czy ktokolwiek z Was zastanawiał się kiedyś, jak to byłoby gdyby nagle przymusowo zostać przeniesionym wiele kilometrów od domu? Na stałe? Porzucając znaczną część majątku? W strony, gdzie dotychczas mieszkała ludność niemiecka? Zaraz po zakończeniu jednej z największych i najkrwawszych wojen w historii ludzkości?

Trzeba przyznać, że już same te pytania wywołują dreszcze. Dodajmy też, że często trzeba było nie lada wytrzymałości i wytrwałości, by nie poddać się w drodze, nie wiedząc wcale, co może czekać u celu podróży.

W czasie trwania II wojny światowej wielka Trójka (USA, ZSRR, Wielka Brytania) omówiła kilka razy sprawę granic przyszłej Polski. Uznano m.in. zbrojną aneksję terytorium Polski dokonaną przez ZSRR w 1939 roku. W wyniku tego Polska pod naciskiem mocarstw musiała odstąpić Związkowi Radzieckiemu 48% swojego terytorium na wschodzie. Fakt przystąpienia ZSRR do wojny po stronie aliantów i przejęcie przez niego, aż do połowy 1944 roku, ciężaru działań w Europie spowodował, że zachodnie demokracje wyrozumiale traktowały polityczne i terytorialne posunięcia Rosjan. W ramach ustaleń konferencji Jałtańskiej, a następnie Poczdamskiej, Polska została przesunięta ze wschodu na zachód. Za cenę utraconych Kresów Wschodnich z ośrodkami polskiej kultury – Wilnem i Lwowem, odradzające się państwo otrzymało uprzemysłowione, bogatsze, ale wymagające ogromnej pracy obszary położone na wschód od granicy wytyczonej przez Odrę i Nysę Łużycką. Miała być to forma rekompensaty za utracone ziemie.

A co z ludnością zamieszkującą wspomniane tereny? Podjęto decyzję o przesiedleniach. Rządzący PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego) w 1944 r. podpisał umowy o wzajemnej ewakuacji ludności polskiej i żydowskiej z Kresów oraz ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej z Polski wschodniej. W umowach przesiedleńcom zapewniono możliwość wyboru miejsca osiedlenia oraz odszkodowanie za pozostawione mienie (ziemia, nieruchomości) w formie gospodarstwa wiejskiego lub nieruchomości miejskiej. Regulaminowo zezwolono

każdej rodzinie na zabranie ze sobą do dwóch ton bagażu. Wliczano w to żywność, odzież, sprzęty domowe, czy nawet zwierzęta hodowlane. Osoby zajmujące się zawodami wolnymi, takimi jak lekarz czy artysta, miały dodatkowo zezwolenie na przywiezienie ze sobą niezbędnych do pracy narzędzi. Wyjeżdżających zwolniono ze wszystkich zobowiązań podatkowych i kontyngentów, czyli rzeczowych danin, takich jak zboże, zwierzęta i nabiał.

W teorii przesiedlenie ludności polskiej miało być dobrowolne, w praktyce jednak pozostanie wiązało się z ryzykiem represji i rusyfikacji. Jednocześnie z rejestracją przesiedleńców odbywała się przymusowa wysyłka w głąb Związku Radzieckiego. W tym samym czasie na Ziemiach Odzyskanych trwała weryfikacja i wysiedlanie ludności niemieckiej. Decyzja o przesiedleniu nie była łatwa. Kresowiaczy mieli odejść z ziem zamieszkiwanych przez nich od wielu stuleci, z którymi związani byli mocnymi więzami uczuciowymi i historycznymi. Okazało się jednak, że nie wszyscy z nich mieli zagwarantowany swobodny wyjazd. O ile nie stwarzano zwykle problemów mieszkańcom miast, o tyle ludność wiejską niejednokrotnie starano się odwieść od tej decyzji. Przesiedlenia często przedłużano, a wręcz sabotowano. Powodem takiego stanowiska była obawa o spadek produkcji rolnej.

W mojej rodzinie, której część pochodzi z Kresów Wschodnich doszło do obu tych sytuacji. Niestety nie ma już naocznych świadków tamtych wydarzeń, więc ciężko poznać szczegóły. Faktem jednak jest, że rodzinie mego dziadka (wówczas pięcioletniego chłopca), która mieszkała w miasteczku Monasterzyska, w okolicach Buczacza, udało się przejechać na Dolny Śląsk zaraz po wojnie, choć podróż nie była łatwa, pełna długich przestojów. Czasami kilka dni spędzali w polach, czekając, aż pociąg ruszy dalej. Osiedlili się pod Złotoryją, gdzie po okazaniu dokumentów przydzielono im gospodarstwo rolne wraz z poniemieckimi zabudowaniami.

Historia mojej babci jest bardziej dramatyczna. Jej rodzina zamieszkiwała w jednej z wiosek w Bieszczadach, niedaleko polskiej granicy. Jak babcia wspominała „wystarczyło wyjść na górkę, żeby Polskę zobaczyć”. Tuż po wojnie podjęli decyzję o wyjeździe na Ziemię Odzyskaną. Sprzedali majątek, to, co zostało załadowali na wóz i ruszyli w stronę granicy i linii kolejowej. Niestety w czasie przejazdu przez las zostali zaatakowani przez bandę Ukraińców, którzy ich pobili, obrabowali i w sposób dosadny nakazali im powrócić, skąd przybyli. Rodzina babci nie miała wyboru. We wsi zamieszkałej głównie przez Ukraińców niebezpiecznie było nawet używać języka polskiego. Jej bracia przez dwa lata ukrywali się w lasach, a gdy ich złapano, siłą zostali zwerbowani do wojska radzieckiego i wysłani gdzieś do Kazachstanu. Do Polski

udało się przyjechać babci dopiero po śmierci Stalina. Wymknęli się w nocy, w tajemnicy. Cały swój dobytek zostawili na wschodzie, a po przyjeździe do Legnicy zaczęli od nowa.

A jak wyglądało życie na Ziemiach Odzyskanych? Po długiej i ciężkiej podróży przesiedleńcy lądowali w nieznanym sobie świecie. Nic więc dziwnego, że dla bezpieczeństwa osiedlali się w jednej miejscowości, z dawnymi sąsiadami i znajomymi. Dodatkowym zagrożeniem były pozostałości oddziałów niemieckich i wszechobecni szabrownicy. Brakowało żywności i instytucji państwowych. Krajobraz powojenny również nie wpływał korzystnie na osadników. Obecność i władza Armii Radzieckiej powodowała poczucie zagrożenia i bezsilności. W tych warunkach wzrastała solidarność mieszkańców nowych terenów. Wiele prac wykonywano wspólnie, dawało to, bowiem lepsze i łatwiej osiągalne efekty. Pomoc sąsiedzka była czymś oczywistym, a powstałe w tym okresie więzy nierozzerwalne. Co ciekawe, Kresowiacy długo mieli poczucie tymczasowości swojego położenia. Nie wierzyli, że zostaną tu na zawsze. Ograniczali inwestycje, nie remontowali domów i z obawą czekali na powrót Niemców. Z utęsknieniem też wyglądali dnia, kiedy będą mogli wrócić na „Polskie Kresy”, gdzie był ich dom.

Spalona, miejscowość, w której mieszkam, również została zasiedlona osadnikami ze wschodu. Moi rodzice sprowadzili się tutaj w latach dziewięćdziesiątych, więc informacje, o tym jak wyglądało życie pierwszych osadników, otrzymałam od mieszkańca Spalonej potomka pierwszych osadników, pana Józefa Barana.

Już w czerwcu 1945 roku, dotarli tu pierwsi osadnicy. Były to rodziny Chmajów, Wojtalów, Bieleniów. Po długiej podróży pociągiem do Legnicy musieli przedostać się na miejsce piechotą, dobytek ciągnąc na furmance (konie nie mieli).

Z czasem przybywało tu coraz więcej przesiedleńców, głównie z Mołodyłowa i Dawidowa. Oznacza to, że wielu obecnych mieszkańców jest krewnymi lub ich rodziny znają się jeszcze z Kresów. Pierwsze lata nie były bezpieczne, trzymano się, więc razem.

Dzięki temu już we wrześniu tego samego roku powstała prowizoryczna szkoła dla dzieci od lat siedmiu. Klasy były łączone, często bardzo wieloma uczniami zajmowała się jedna osoba. Początkowo szkoła znajdowała się w prywatnym budynku nieopodal kościoła, ale już od 1948 roku na cele szkolne przekazano budynek (nieistniejącego już dziś poniemieckiego

pałacu.



Pierwsi osadnicy na tle pałacu w Spalonej (dawna nazwa Hulewicze) 1945

Z racji deficytu żywności na terenie małych miejscowości, takich jak Spalona, zaopatrzenie przynoszono piechotą w plecakach z Legnicy do lokalnego sklepiku. Prace polowe wykonywano wspólnie, często przy użyciu pozostawionych przez Niemców maszyn

rolniczych, a po ich zakończeniu zasiadano razem do posiłku. Sąsiedzi pomagali sobie nie tylko w takich sytuacjach, zdarzało się, bowiem, że w razie potrzeby użyczano innym nawet konie.



Z czasem sytuacja w kraju zaczęła się stabilizować. Do wsi dotarły pierwsze traktory i pojazdy rolnicze, ale więź ludzka pozostała. Powstał klub sportowy „Osadnik”, założony przez docenianego wśród miejscowej ludności pana Kazimierza Lizonia. Pan Józef Baran wspomina, że młodzież z owego klubu na wszelkie mecze wybierała się przyczepą traktora. W wolne popołudnia i soboty spotykano się na potańcówkach w miejscowej świetlicy. Wiązało się to z dobrą zabawą, jak i swojską atmosferą. Gdy pojawiły się we wsi pierwsze telewizory, rodziny schodziły się

na wspólne oglądanie. Na pamiątkę pierwszych osadników, niektóre ulice w Spalonej otrzymały nazwy utworzone od miejscowości, z których pochodzi tutejsza ludność.

Naszego rozmówcę Pana Józefa Barana można określić mianem „strażnika historii”. Jako jeden z nielicznych mieszkańców Spalonej dba, by wiedza o tym, skąd jesteśmy nie uległa zapomnieniu. Jest inicjatorem nadania nazw ulic w Spalonej wywodzących się od miejsc, z których przyjechali na te tereny pierwsi osadnicy. Inicjuje zjazdy Kresowiaków, w tym roku odbył się już 11. Na swojej posesji zbudował altanę, którą nazwał tak, jak sklep z miejscowości Dawidów - pierwszych osadników „Dawidowska Jama”.



Jego hobby stało się zbieranie maszyn, narzędzi, sprzętów domowego użytku, którymi posługiwano się w pracy na roli.



Sprzęty rolnicze ze zbiorów p. J. Barana



Propaguje wiedzę o mieszkańcach Spalonej, którzy zasłużyli się w powojennej historii tej miejscowości. Od niego dowiedziałam się o panu Kazimierzu Lizoniu. Pan Kazimierz, jak wynika z opowiadań p. Barana to postać niezwykła, taki cichy bohater tamtych czasów. Gdy poznałam historię jego życia, postanowiłam umieścić w tej pracy kilka słów o tym wielkim człowieku.

Pan Kazimierz do Spalonej przybył pod koniec lat pięćdziesiątych. Od razu zyskał sympatię i szacunek mieszkańców. Był organizatorem życia kulturalnego we wsi. Założył klub sportowy „Osadnik”, angażował się w działania Koła Kombatantów, był ich przewodniczącym. Starał się jednoczyć mieszkańców wokół działań dla dobra społeczności. Założył fermę kurzą, którą chciał rozwijać i unowocześniać, ale komunistyczne władze skutecznie mu to uniemożliwiały. Ktoś zapytałby dlaczego, przecież jego sukces przyniósłby korzyści społeczeństwu? Wszystko wyjaśni się, kiedy poznamy burzliwą historię jego życia. Otóż p. Lizoń był uczestnikiem wojny polsko –rosyjskiej 1920 roku (a to nie było dobrze widziane przez komunistyczne władze Polski próbujące zatrzeć te fakty z historii naszego kraju), walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. W czasie okupacji był więźniem obozu jenieckiego, z którego udało mu się uciec, przedostał się na tereny ZSRR, by zaciągnąć się do armii wojska polskiego organizowanej przez gen. Władysława Andersa. Walczył pod Monte Casino, przeszedł cały szlak bojowy z armią W. Andersa. Za swoje bohaterstwo został odznaczony trzykrotnie krzyżem walecznych i krzyżem Virtuti Militari- najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym, nadawanym za wybitne zasługi bojowe. Po zakończeniu wojny znalazł się na Zachodzie Europy- mógł pozostać tam, ale wolał wrócić do Polski, o którą przecież tak długo walczył. Rzeczywistość okazała się nie taka łatwa. Władze nie chciały nadać p. Kazimierzowi statusu osadnika wojennego (dostałby wtedy gospodarstwo od państwa), musiał gospodarstwo kupić sam. Swoje gospodarstwo nastawił na produkcję drobiu i tu widział przyszłość. Śledził nowinki, uczył się, pracował, osiągał sukcesy. Pełnił nawet funkcję Prezesa Polskiego Związku Producentów Drobiu. Chciał rozwijać swoje gospodarstwo, zbudować kurnik, zaciągnął więc kredyt. Szybko jednak okazało się, że ma problem ze spłacaniem rat. „Walczył” z komunistyczną władzą o sprawiedliwość, walczył - to być może za dużo powiedziane, była to walka na pisma wysyłane do bezdusznych urzędników z prośbą o uznanie

jego prawa osadnika wojennego, próśby o zawieszenie spłaty długu. Władze pozostały nieugięte. Pan Kazimierz zmarł w 9 maja 1978 roku, jego grób znajduje się na legnickim cmentarzu.

Lata mijają, ludzie odchodzą i dziś nie ma już nikogo, kto pamiętałby tego dzielnego człowieka. Dzięki takim osobom jak P. Józef Baran możemy usłyszeć tę historię. Marzeniem p. Józefa było, by nowo powstającej ulicy w Spalonej nadać imię p. Kazimierza Lizonia dla upamiętnienia tego człowieka. Historię p. Lizonia zainteresował pan Baran nauczycieli z Gimnazjum w Spalonej (obecnie Szkoła Podstawowa), dzięki temu powstała krótka opowieść o tym dzielnym żołnierzu, umieszczona na stronie internetowej szkoły oraz na gazetce szkolnej.

W tym miejscu chcemy podziękować naszemu rozmówcy za poświęcony czas, za opowieści o początkach osadników na tych terenach, które przybliżyły nam tamten czas i klimat.

Dziękujemy

Joasia, Natalia, Ola, Marcelina

